

Koniec  
wiosny  
w Lanckoronie



AGNIESZKA BŁOTNICKA

# Koniec wiosny w Lanckoronie



Wydawnictwo  
Nasza Księgarnia

This edition © copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,  
Warszawa 2011

Text © copyright by Agnieszka Błotnicka, 2011

by arrangement with Syndykat Autorów

Projekt okładki: *Krzysztof Kibart*

Zdjęcie na okładce: © Jokerproproduction|Dreamstime.com

Projekt lakieru: *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

## Rozdział 1

### *Trzęsienie ziemi*

Zatrzymałam samochód przed wejściem do restauracji. Zahamowałam z takim impetem, że dwóch przechodniów z lękiem spojrzęło w moją stronę. Sama się przestraszyłam. „Co się ze mną dzieje?”. Zacisnęłam dłonie na kierownicy. Uplętnęło dobrych kilka minut, nim ruszyłam z miejsca.

Gdy przekraczałam próg, marzyłam tylko o jednym – by znaleźć stolik w najbardziej ustronnym miejscu, gdzie ukryję się ze swoim psychicznym rozkawałkowaniem i gdzie spróbuję złożyć do kupy tę garść skoruppek, jaką się czułam. Najlepiej znika się w samotności, ale w mieszkaniu z pewnością padłabym na łóżko i zaniósł się szmatywnym szlochem. Na spektakularną rozpacz zawsze znajdę czas – postanowiłam zostawić ją na potem.

Restauracja stanowiła idealne miejsce na chwilowe wytechnienie, oczywiście pod warunkiem że żadnemu z gości nie przyjdzie do głowy wbić we mnie wścibskiego spojrze-

nia. Twarze, z których można było wyczytać tragikomiczną historię, takie jak moja teraz, zawsze przyciągały uwagę.

Znalazłam miejsce przy oknie, w najdalszym kącie sali. Od sąsiedniego stolika oddzielała mnie potężna donica z jakimś zielonym wiechciem – cicha ostoja bezpieczeństwa. Rozważałam przez chwilę, czy nie podejść do baru i nie wyzalić się barmanowi, ale zrezygnowałam. Po pierwsze, za barem stała smutna kobieta, która nijak nie przypominała życzliwego spowiednika, a po drugie, takie zwierzenia zaanektowali dla siebie zdołowani faceci – opisy ich smętnie zwieszonych nad setką wódki głów i konfidencjonalne mrużenie odnotowano w tonach literatury i zarejestrowano na kilometrach taśmy filmowej. Psychiczny ekshibicjonizm panów był usprawiedliwiony, mój – nie.

Zerknęłam w menu, czując się jak posąg z papier-mâché, symbol uchwyconej w biegu codzienności: „Kobieta z jadłospisem”. Czy w kartach restauracyjnych nie powinny znajdować się jakieś krzepiące zdania, wrzucone od niechcienia pomiędzy królika w burakach a halibuta na gorących prawdziwkach? Coś w stylu: „Nie martw się, jutro będzie gorzej”, „Nie ty jedna, nie ostatnia, a jeść trzeba”, „Głowa do góry, bo jeśli już doczołgałaś się do naszej restauracji, to chyba nie jest aż tak źle”?

Nie mogłam sobie przypomnieć, od czego się wszystko zaczęło. Jak doszło do tego, że siedziałam teraz w tej niewielkiej, gustownej restauracyjce na Mokotowie i za

wszelką cenę próbowałam wziąć się w garść? Byłam pewna, że pierwsze sygnały nadchodzącej katastrofy musiały pojawić się znacznie wcześniej. Niestety tylko nieliczne dopuszczamy do świadomości. Zazwyczaj docierają do nas wtedy, kiedy już za późno na jakikolwiek ruch i pozostaje jedynie rozpaczliwe chwytnie haustów powietrza. Zresztą aby odczytać właściwie wszystkie te sygnały, musiałabym przeanalizować tysiące faktów – przesłanek – gestów, min, słów oraz przemilczeń. Może nawet stworzyłabym z tych elementów zgrabny emocjonalny landszaft, ale jako dzieło rażące dosłownością i tak wylądowałoby w śmieciach. Rzetelność stanowiła poza tym ostatnią rzecz, na jaką miałam w tej chwili ochotę. Mogłam jedynie skupić się na najbardziej wyrazistych znakach.

W restauracji panował spokój. Szum cichych rozmów wypełniał przestrzeń, poruszany wiatrem lufcik miarowo uderzał o framugę, a przez szerokie witryny wpadały smugi żywego wiosennego słońca. Trzymałam kartę jak koło ratunkowe, wiedząc, że dopóki ją dzierżę, kelnerka nie naruzy mojego terytorium. Kamienie nie składają zamówień.

Wieczorny powrót z Konstancina. To wtedy po raz pierwszy poczułam, że coś jest nie tak.

Wycieraczki pracownicy rozbijały strużki wody spływające po przedniej szybie samochodu, czarny asfalt lśnił w świetle reflektorów. Wydawało mi się, że jest świetnie. Deszcz szumiał, z radia sączyła się muzyka, a tuż obok siedział facet, o jakim marzyło wiele kobiet. Bo taki mę-

ski, taki seksy, trochę nawet drań. Damskiej zawiści towarzyszyła lekka irytacja, że wybrał akurat mnie – kobietę z nadwagą. Zupełnie niezrozumiała sytuacja. Niepokojąca. Jak fałszowanie młodzika z mutacją na oficjalnym występie chóru. No bo jak to? Przecież mężczyźni uwielbiają tylko poręczne kobiety. Lekkie i wygodne jak neseserki, z którymi można gładko wcisnąć się do zapchanego wagonu metra, pomajtać sobie nimi od niechcienia, pogłodzić je i otworzyć jednym ruchem ręki. To oczywiste, że żaden nie chciałby się pchać przez życie z wielką pękatą walizką. Jeszcze kilka miesięcy temu stanowiłam żywe zaprzeczenie tego poglądu i dowód na to, że mężczyzna jest istotą bardziej skomplikowaną, niżby się zdawało. Może nie każdy, ale ten na pewno. Teraz moja pewność gdzieś ulotniła. Jakich szukałam znaków? Przecież wszystko było oczywiste. Po prostu nie mieściłam się w dłoni.

– Podać coś do picia? – usłyszałam głos kelnerki.

– Tak, cappuccino.

Dziewczyna kiwnęła głową i odeszła w stronę baru. Natrętne pytania znowu zawisły nade mną jak chmura komarów. „Czyżbym coś przeczyła? Kiedy zaszła w nim zmiana? Gdzie szukać przyczyny tego, co się stało? A może tu nie chodziło o moją niewymiarowość? Dlaczego przyszła mi do głowy ta droga z Konstancina?”. Zaczniemy jeszcze raz.



Wycieraczki pracowicie rozbijały strużki wody spływające po przedniej szybie samochodu, czarny asfalt drogi lśnił w świetle reflektorów. Wydawało mi się, że jest świetnie. Spędziliśmy dwa dni w eleganckiej rezydencji Wojtka Grosza – zdolnego, zamożnego architekta, który po piętnastoletnim pobycie w Australii wrócił do Polski z głową pełną pomysłów i z planami rozmaitych inwestycji budowlanych. Żona Monika, efektowna prawniczka z temperamentem, podtrzymywała jego zapal rzeczowymi, fachowymi poradami oraz dbała o dobre kontakty z ludźmi z krajowej socjety. Oboje sprawiali wrażenie sprawnie działającej maszyny. Mieli przy tym entuzjazm i wdzięk ludzi z prawdziwą pasją. Spodobali mi się – byli towarzyscy, bezpośredni, bardzo australijscy.

Kiedy Filip zatrzymał samochód przed bramą ogrodu, Monika Grosz niemal od razu pojawiła się w drzwiach domu w stylu polskiego dworku. Patrzyłam na zgrabną, bardzo ładną brunetkę idącą żwirową alejką, by nas powitać, i nie mogłam pojąć, jakim cudem jej nogi obute w złotawe szpilki nie wyginają się na nierównej nawierzchni. Widocznie szczupłe kobiety sukcesu nawet podłoże umiały skłonić do posłuchu.

– Cudnie, że jesteście, już otwieram! – zawołała wesoło, otwierając metalowe skrzydła secesyjnej bramy.

Filip wjechał na żwirowy dziedziniec z kolorowym kwiatnym klombem pośrodku, a następnie zatrzymał sa-

mochód w niewielkiej zatoczce parkingowej. Przed wyjściem spojrzął na mnie z uśmiechem.

– Świetna babka, nie? Spodoba ci się, jest inteligentna, tylko uważaj, gada jak najęta. – To powiedziawszy, wykonał palcami ruch imitujący mówienie.

Monika zamknęła bramę wjazdową i podeszła do nas z serdecznym uśmiechem. Filipa znała od dawna, mnie zobaczyła po raz pierwszy. W jej pogodnych oczach zauważyłam lekkie zdziwienie. Filip nie przywiózł żadnej smukłej laski, tylko prawdziwą bujność. Nie miałam jej tego za złe. Byłam przyzwyczajona, że moja obecność u boku interesującego mężczyzny wzbudza mieszane uczucia. Jeśli wywracasz schemat na lewą stronę, zawsze liczy się z jakimiś kosztami. Zaskoczenie Moniki trwało zresztą ułamek sekundy – w końcu była światową kobietą perfekcyjnie panującą nad mimiką i niewiele mogło ją zdziwić.

Wojtek Grosz okazał się przystojnym blondynem o pogodnej twarzy. W wytartych dżinsach i wyświechtanej koszuli flanelowej wydawał się swobodny i bezpretensjonalny. Powitał mnie silnym uściskiem dłoni, zamienił z Filipem kilka słów świadczących o dużej zażyłości, a potem oznajmił:

– Monika pokaże wam pokój. Kiedy się rozgościcie, zejdzcie na dół. Czekamy.



Mimo że zapierałam się rękami i nogami (wolałam leżeć w łóżku i obracać w myślach każdy centymetr swojego nieszczęścia), Urszula, moja wieloletnia przyjaciółka, wyciągnęła mnie na zakupy. „Czeka cię rewolucja. Musisz się do niej przygotować. Wyjedziesz, opalisz się, odpoczniesz, wrócisz odmieniona. Inaczej spojrzysz na życie” – przekonywała.

Dobrze, w porządku, niech będzie. Po kilku godzinach negocjacji zgodziłam się oddać w jej ręce.

– Najpierw garderoba – zdecydowała, przekraczając próg eleganckiego salonu.

Świetnie. Wspaniale. Garderoba.

Urszula biegła między regałami, ściągając z wieszaków bluzki, sukienki, spódnice – wszystko, co jej zdaniem stanowiło nicodowny element rewolucji. Kiedy skończyła, wcisnęła mi w dłoń stertę ciuchów i wepchnęła mnie do przymierzalni.

Trzy kiecki odłożyłam niemal od razu. Ładne, nawet bardzo, ale pasowały na krasnoludka. A ja nie byłam krasnoludkiem. Dwie bluzki leżały całkiem dobrze, oczywiście jeśli nie zamierzałam dopinać się w pasie. Najgorsze jednak pickło przeszłam z kostiumem kąpielowym. Sprzedawczyni przekonała Urszulę, że wykonano go z najnowszeo superrozciągliwego materiału, zdolnego pomieścić każdą, nawet najbardziej niewymiarową kobietę. Złe przeczucia ogarnęły mnie już wtedy, kiedy próbowałam rozciągnąć go w dłoniach. Nic nie zapowiadało,

żeby przestrzeń, którą w ten sposób stworzyłam, mogła moje krągłości przyjąć. „Brakuje ci wiary, w końcu trzeba wierzyć we współczesną technologię”. Z ufnością zaatakowałam więc lśniący fioletowy skrawek materiału. Lewa noga przeszła, druga również. Teraz należało naciągnąć go na najbardziej górzystą część mojego jestestwa. Poczulałam się trochę jak ciężarowiec: przed decydującym podrzutem odpoczywa chwilę ze sztangą opartą na piersiach, tyle że do piersi było jeszcze daleko – plażowy strój tkwił na razie w połowie ud. Z animuszem i wiarą chwyciłam materiał, podciągając go wyżej. Coś niebezpiecznie zatrzeszczało. Kostium wpił się w brzuch i pośladki z taką siłą, że na moment straciłam oddech. Rzuciłam okiem na szew. Rozciągnięte do granic możliwości nitki trzymały się materiału z jakąś rozpaczliwą desperacją, a każdy gwałtowny ruch groził katastrofą. I ta dyndająca z boku metka. Sto pięćdziesiąt złotych. Pod żadnym pozorem nie mogłam się ruszyć. Jedyne, co mi pozostało, to w miarę bezpiecznie zsunąć z siebie fioletowy cud wzornictwa i technologii. Ba, ale jak to zrobić? Materiał przylegał do ciała tak ścisło, że nawet nie miałam za co chwycić.

– No i jak, kochana? Wszystko dobrze? – usłyszałam zza drzwi głos Urszuli.

– Dobrze, świetnie, wspaniale – wyszeptałam, przekonana, że głośniejsza odpowiedź nadwyreży elastyczne wiązania.

– Super, bo już się bałam, że coś się stało.

Na szczęście nic się nie stało. Poza tym, że tkwiłam w małej komórcie zakleszczona w fioletowego obcego, bez możliwości jakiegokolwiek ruchu, jak w kokonie – nie stało się zupełnie nic.



W domu Urszula wyjęła z torby rozdarty z boku krzyk mody – ten nieszczęsny kostium kąpielowy – i spojrzała na mnie z niemym wyrzutem. Nie mogłam zostawić tego bez komentarza.

– Nie patrz tak na mnie. To nie moja wina, że współczesne technologie są zawodne. To krótkowzroczność nie przyjmować do wiadomości, że świat pęka w szwach. Dlatego od dłuższego czasu kupuję w salonach mody tylko czapki i okulary przeciwsłoneczne.

– Przecież ja wiem, że nie chodzi o ten głupi kostium – zaczęła Urszula z powagą, która nie wróżyła niczego dobrego. – Chodzi o Filipa. I tylko o niego. Wyjaśnij, dlaczego nie możesz do niego zadzwonić?

Nie zamierzałam jej pomagać. Rzuciłam groźne spojrzenie i usiadłam przed laptopem.

– Dobrze, rozumiem: duma. Zapora emocji. Ale pomyśl, czy twoje życie nie byłoby lepsze, gdybyś niekiedy odpuściła? Wiem, to jest proste, mnie samej też czasem trudno, ale może warto spróbować? Nie przyszło ci nigdy do głowy, że właśnie przez te swoje przekorne odmowy i zacięcie rozwalilaś sobie kilka związków? Chcesz w to

brnąć? Pamiętasz Pawła? Tego muzyka? Przypomnieć ci, dlaczego z nim zerwałaś? Ponieważ wyjął ci papierosa z ust. Uznałaś, że pogwałcił twoją wolność, i w jednej chwili wyparował z twojego życia. Dzwonił, stał pod domem, prosił. Ale ty się nie ugięłaś. A taki był piękny.

– Boże, Urszula... Przestań.

– No tak, dla ciebie piękno nigdy nie było decydujące. Ty kochasz się w umysłach. No to idźmy dalej. Marek. „Seksowny, inteligentny” – twoje słowa. Czy ci lśniły, kiedy o nim mówiłaś. I co? Zrobiłaś wszystko, żeby to schrzanić. Chciałaś gorącego uczucia, wymyśliłaś sobie, jak powinien wyglądać wasz związek. Obsadziłaś go w roli, tylko zapomniałaś uprzedzić, w czym gra. A kiedy przychodził, stwierdzałaś rozczarowana, że robi to źle i fałszywie. Kto by to wytrzymał? Nic dziwię się, że się wymknął.

– To nie fair!

– Mówię tak, abyś się ogarnęła! Kiedy odszedł, stwierdziłaś: „To dlatego, że nie jestem laską”. Może to prawda, może nieprawda, ale założę się, że robiłaś wszystko, by móc to w końcu powiedzieć. Nie chciałaś przekonać się, jak jest naprawdę? Przejdź na dietę. Zeszczuplejesz i wtedy nie będziesz miała już żadnego alibi.

– Daj spokój.

– Nie dam.

– Chyba oszalałaś?! Chcesz, żebym stała się jedną z tych znerwicowanych kobiet, które nie rozstają się z wagą spożywczą?

– Nic. Chcę, byś przestała zwałać winę na wygląd. No i przeszła się po plaży w nowym, naprawionym przeze mnie kostiumie.

– Nic lubię plaż. W piasku znajdują się miliony bakterii, skrawki wędlin i zjełczały olejek do opalania.

– Wiesz przecież, o czym mówię.

Przyjaciele są najgorsi. Nic robi na nich wrażenia żadna, najwymyślniejsza nawet retoryka. Jakby byli na nią zupełnie impregnowani. Urszula miała trochę racji, choć wydawało się to prawdą nieco dla mnie wstydliwą. Nic zamierzałam jednak łatwo składać broni.

– Słuchaj, ja się do tego nie nadaję. Widziałaś kiedyś oczy tych kobiet? Są smutne. Zbolałe. Wicecznie rozdrażnione.

– Być może przez jakiś czas tak jest. A potem wbijają się w małe czarne i osiągają sukcesy.

– Mam gdzieś ich sukcesy. Chcę, żeby złożyli mnie do grobu grubą, ale szczęśliwą.

– Jeśli czegoś z tym nie zrobisz, złożą cię tam szybciej, niż myślisz – rzuciła lodowato Urszula.

Przesadziła. Miałam ochotę powiedzieć przyjaciółce, że kiedy patrzę na to jej wypięlgnowane jestestwo w rozmiarze trzydzieści pięć i pół, to umieram z nudów, bo nie ma w nim ani krzty zaskoczenia. Szczupłe nogi, zgrabny tyłek i idealnie skrojone piersi. No po prostu monotonia nowojorskiego wieczowca! A ja? Ja byłam arkadowo sklepiionymi podcieniami, najbardziej wymyślną kamienicą Antonia